(N. 12.)

DZIENNIK WILEŃSKI

ROK 1826. GRUDZIEN.

Dozwala się drukować. Dnia 10 grudnia 1826 roku.
Z polecenia JW. Wojennego Gubernatora Litewskiego.
Andrzey Bucharski Rzeczywisty Radzca Stanu i Kawaler.

W DRUKARNI A. MARCINOWSKIEGO.

SZCZĘŚLIWY DZIEŃ.

(*Dokończenie*).

„ Za jakąż karę odbiéram tę wiadomość? " rzekła dziewczyna z widoczném poruszeniem. „ Własnebym życie oddała, gdybym tylko mogła nic o tém nie wiedzieć. Jeśli mam cokolwiek szacunku u ciebie, Konstanty! powiedz, co mam uczynić w tym razie? Będę mówiła, lecz cokolwiek powiém, wszystko na mnie samą ściągnie przekleństwa. Jużby to jedno mię zabiło, gdybym kogokolwiek wydała; cóż dopiero, kiedy muszę wydać tego, który na mojem milczeniu polega. Nie, ja nie zadawałam Lordowi zagadki, jam nawet nie mogła inaczey przed nim powiedzieć; możem zbyt wiele wyrzekła: przestrach i zaufanie ku niemu do tego mię przywiodły, a teraz on na mnie samą zwala całą winę wszystkich nieszczęść swoich." „ Smutny stan jego umysłu czyni go niesprawiedliwym, Saro!" rzekł Konstanty. „ Przebacz mu. Mimo to, co napisał, nigdy on na złe nie użyje twojey tajemnicy. Lecz jeśli nie możesz jey odkryć bez naruszenia własney spokoyności, zachoway milczenie i chciey się pocieszyć. My obadwa czekać będziemy czasu, kiedy może okoliczności zmienią twoje postanowienie. Odday mi list ten, mimo woli Lorda mogący bydź przyczyną nowego zabóystwa. Niechay on sobie wyjeżdża; my Saro! jeśli zechcesz bydź moją, razem z jego sy-

nem udamy się za nim i spólnie będziemy się przykładali do uleczenia jego cierpień, których nie twoja wina, lecz własny jego umysł skołatany jest przyczyną. Może, jakieś przeczucie o tém mię zapewnia, że Bóg poda mi szczęśliwe zdarzenie odkrycia ulgi, którey ty mu przynieść nie jesteś w stanie."

Sara wpadła w zamyślenie i wzrok w niego utkwiła: jey oczy, pełne ognia, tak go ośmieliły, iż w żywych kolorach buyney swojey imaginacyi zaczął jey wystawiać obraz nayprzyjemnieyszy tego czasu, kiedy mu się uda rozpędzić mgłę czarną, okrywającą serce przyjaciela. Tym sposobem utwierdził ją w postanowieniu milczenia, przewidując, że naymnieysze zranienie duszy, mogłoby rozerwać delikatny związek czułego małżeństwa; sam zaś przedsięwziął nie zaniedbać żadnych usilności dla spólnego wszystkich ich dobra. Jakby w nagrodę za ukrzepienie kochanki w spokoyney ufności, błysnął mu promień nadziei, odkrycia tajemnicy.

W tém weszła staruszka. Sara, zostająca dotąd w skromney postaci słuchacza, ze łzami w oczach, przez które przebijał się blask uśmiechu, zaledwo dóyrzany, rzuciła się do niey wołając: ,, ciesz się babko! Eliasz już prawie jest wolny, wkrótce go zobaczysz."

Szczęśliwą tę przemianę w myślach Sary, Konstanty za pomyślną wróżbę wziął dla siebie, i to go nie zawiodło. ,, Dwoje ci razem dzieci przybędzie nie zadługo, babko!" rzekł biorąc Sarę za rękę ,, lecz z nich jedno się tyl-

ko przy tobie zostanie. Day nam swoje błogosławieństwo."

Staruszka spóyrzała nań z podziwieniem; a on spokoynie prośbę powtórzył. „Chętniebym" rzekła babka, uważając zawsze w towarzyszu Lorda, nie mniey jak on, znakomitego człowieka, „ale moje dzieci, wiedzcie, że ja jedna nie mogę stanowić; są okoliczności" „Czyliż nie jesteś nayblizszą krewną Sary?" zapytał Konstanty, postrzegając w tym momencie nadzwyczayne zdumienie w oczach swey lubey.

„Prawda! prawda!" mówiła daley staruszka, „ale jest jeszcze jeden człowiek, teraz go tu nié ma, i już oddawna; jednakże jeszcze on żyje. Bez jego zezwolenia, wszak Sara wié, o kim ja mówię."

„Dla Boga babko!" krzyknęła Sara, zbladła, nie wiedząc prawie, co ma mówić: „powiedz, czy ja ciebie rozumiem? Ty myślisz! a jemuż co do mnie?"

„Co takiego? djabeł? przerwał zdziwiony Konstanty.

„Nie zadziwiay się tak bardzo! „ rzekła staruszka ze śmiechem, lecz razem nieco pomieszana: „Nie myśl o tém nic złego. Sara wie tylko o jego przezwisku, które tu na pośmiech dali mu ludzie, i dla tego nie bardzo on z ludźmi przestaje" — „No cóż? mamy pana młodego, trzeba go dobrém winem poczestować" „Oto widzisz tak: człowiek ten przyjeżdża tu niekiedy: daleko on lepszy, niż jego złe przezwisko: i od samego dzieciństwa Sary, był łaskaw na nię, ona się też nigdy jego nie lękała: a że z czasem ma wziąć po nim puściznę —

tak, tak moja przyjaciółko, ty będziesz jego naślednicą."

„Nigdy!" z widocznym wstrętem krzyknęła dziewczyna, jeszcze bardziey wybladła: nigdy na to się nie zgodzę! Konstanty! ja wszędy póydę za tobą! Tylko prędzey! natychmiast! dodała głosem przytłumionym rzucając się w jego objęcia: nie mów jednakże tego Lordowi, co teraz słyszałeś!"

Imie wyżey rzeczone, już po raz trzeci i coraz w odmiennym tajemniczym względzie uderzając słuch Konstantego, jakby błyskawicą nagle oświeciło w jego duszy drzemiące, otrętwiałe, zapomniane wrażenia; zebrała ona je w punkt jeden i wystawiła w prawdziwey, dawno znajomey postaci.

„Co?" krzyknął na tenczas „Móy Boże, ja go znam! Dla czego mu dano to nazwisko? Czy nie jego twarz żółto-śniadawa była do tego powodem, twarz grobowa, jednak nie oznaczająca nikczemney duszy?"

Staruszka skłonieniem głowy dała znak potwierdzenia. Sara prawie bez tchu leżała na jego łonie. „Sarze zle się zrobiło!" postrzegając się zawołał Konstanty. „Ja muszę wyyść i zaraz powrócę" to mówiąc zaniosł ją do drugiego pokoju i zwolna położył na łóżku. „Odzyskay siły, dobra Saro!" szepnął jey do ucha: „biorę twóy ciężar na moję duszę.

Nie ty, lecz Opatrzność: on sam, wydał się przede mną wprzód jeszcze, nim ciebie poznałam: ty nie zdradziłaś swojey tajemnicy, tam dopiéro ona się sama mnie odkryła; mówię o-

twarcie i nie chcę ciebie oszukiwać. Oby mi Bóg dał siły do obrócenia tego na dobro nasze. Polegay na mnie! Twoja spokoyność, twoje szczęście, są razem mojemi. Żądaszże tego?"

„Spuszczam się na Boga i na ciebie!" odpowiedziała z cicha. „Czuję ulgę, jak gdyby mi kamień spadł z serca. Ufam że nie postąpisz, iżbym miała cokolwiek sobie do wyrzucenia.

Konstanty wycisnął pocałunek na jey czole, wyszedł z tego pokoju, drzwi zamknął i z miną poważną stanął przed staruszką. „Teraz," rzekł do niey, opowiedz mi wszystko, ale opowiedz rzetelnie."

Staruszka trochę pomyśliła, a potém odpowiedziała: „Wszakże go znasz, sam tak mówiłeś, a może i wiész gdzie on teraz przebywa."

„Zapewne, jeśli się nie mylę."

Lepiey więc staray się z nim pomówić. Cóżby znaczyło choćby się mu to i nie podobało. Ale ja bez jego zezwolenia wydać wnuczki nie mogę. Wiesz, że on jest bogaty, bardzo bogaty!"

Ja się o to nie pytam. Muszę z nim koniecznie pomówić; oświeć mię tylko, jakie on ma prawo do Sary?"

„O tém nie wiele mam do mówienia," odpowiedziała staruszka nieco się zająkając. „Przeszło już lat dwadzieścia, albo blisko tego, kiedy gość do nas zajechał, jak się zdawało, dobrze mojemu zięciowi znajomy. Nie wiem dla czego, jednakże miał potrzebę często bywać w tych stronach, i ponieważ znieść nie mógł, że wszyscy w mieście dziwili się jego twarzy, namówił

więc mojego zięcia, aby mu pozwolił tajemnie w pustych pokojach przebywać. Razu jednego odwiedził nas wkrótce po urodzeniu się Sary. Chociaż matka jey nie bardzo bywała mu rada, niemowle jednak tak się do niego garnęło, iż coraz częściey zaczął u nas bywać i potrafił zyskać zupełne dziecka przywiązanie. Kiedy już Sara podrosła, kazał jey milczeć o sobie, chociaż to było niepotrzebnie: bo ona w dziecińsłwie nawet nigdy nie była szczebiotliwą. Nie prędko potém oświadczył przede mną, że cały swóy majątek dla niey zapisze, jeśli tylko nie wydam jey za mąż, bez jego zezwolenia. Od tego czasu coraz rzadziey nas odwiedzał, i już mi się zdawało, że musiał zajechać gdzie daleko. Otoż wszystko opowiedziałam. W mieście oddawna nazywano go djabłem, dla tego, że, jak mówiono, ciągle dziwną swoją twarzą czartowskie wyrabiał grymasy, i jakże było tego nie czynić, kiedy ze wszech stron poglądano na niego jak na jakie dziwo. Nie objawił on nam swojego nazwiska, zięć móy tylko znał go; między sobą zaś takeśmy nazywali, jak go w mieście nazywano.

Kiedy wiesz, gdzie go możesz znaleźć, to staray się sam z nim pomówić."

Konstanty chciał jeszcze kilka uczynić pytań, ale się zastanowił i rzekł sam do siebie: „Na cóż więcey pytać? Alboż nie dosyć wiém?

Proszę Sarze pokłonić ode mnie „przydał głośno," dziś prosiłem o rękę: bo natychmiast muszę wyjechać w interessie Lorda. Niezadługo powrócę. Niech ona będzie spokoyną i wesołą; proszę to jey powiedzieć ode mnie."

Skoro Konstanty przyszedł do Lorda, ten zaraz postrzegł w nim cóś nadzwyczaynego: przez głębokie zamyślenie jakaś wesołość przebijała się mu w oczach.

Lord tym bardziey ponure zwrócił nań spóyrzenie, że tę wesołość, jaśniejącą na jego twarzy, posądził za urąganie ze swoich cierpień.

,, Milordzie!" rzekł Konstanty ,, może już wkrótce rozwiąże się twoje postanowienie, tylko nie chciey się u mnie dopytywać!"

Nazajutrz, kiedy się Lord przebudził, już Konstantego nie było; tylko list zostawiony zawierał prośbę, aby niezwłócznie uwolnić Eliasza, i nie turbując Sary, spokoynie oczekiwać jego powrótu — tak spokoynie, jak, według jego zdania, i ona miała czekać tey chwili.

Pocieszająca nadzieja błysnęła w duszy Lorda, mimo to jednak nie zdołał wykonać pierwszego żądania; nie śmiał nawet widzieć się z Sarą; ale nakoniec nuda, miłość oycowska, jakieś trwożliwe oczekiwanie, zresztą sam nie wiedział, co go do niey przywiodło. Spoczątku te odwiedziny zmieszały Sarę, lecz wkrótce powróciła do zupełney spokoyności. Lord słuchał z uwagą co mówiła; ale tylko lube dziecie, cel jey troskliwości, syn jego, był przedmiotem rozmowy. O liście od Lorda odebranym ani słowa; ani słowa także o Eliaszu. Staruszka nie śmiała żadnego uczynić pytania. Lord zaczął często przychodzić, lecz zawsze bawił nie długo: niecierpliwość, wewnętrzne zaburzenie, nie dawały mu pokoju. Obecność Konstantego, jego żywa i ognista dusza, rozpędzały wszystkie tro-

ski, wszystkie nudy przyjaciela; z nim, stracił Lord jedyną pociechę. Tak upłynęły trzy długie, tęskne tygodnie; Sarze ufność tylko i łube nadzieje czas skracały.

Nakoniec jednego ranku Lord przebudzony, posłyszał chód bardzo znajomy. Nie długo jego ciekawość była w zawieszeniu. Wbiegł Konstanty, i tkliwie uścisnął swego przyjaciela. Przenikliwy wzrok Lorda postrzegł jakąś posępność na czole młodzieńca, jak gdyby świeżość jego twarzy długiém działaniem otwartego powietrza była przyćmiona.

„Powiedz, Milordzie, jak się masz?" rzekł Konstanty: " mów do mnie śmiało: bo już przyszedł koniec twojego postanowienia. Przestępca odkryty, wiém o nim, i ty się wkrótce o nim dowiész. Udało mi się bydź usłużnym dla ciebie; chociaż sam — niedziw się temu — sam mi podałeś zręczność do nay pomyślnieyszego odkrycia. Jakże śpieszyłem! Nie pozwoliłem sobie nawet odwiedzić dobrey matki moiey."

Lord w radośne wpadł zadumienie, ale wnet powrócił do siebie, dobył zegarek, spóyrzał z uwagą na skazówkę, i potém w kilku wyrazach poleciwszy Wudowi, aby się postarał o uwolnienie Eliasza, prosił znakiem Konstantego, o dalsze opowiadanie.

„Prawdę ci mówią," tak zaczął Konstanty, „którzy to zabóystwo przypisują złym duchom, w domu przebywającym. Jednakże naprzód muszę opowiedzieć jedną historyykę; krótko opowiem tym czasem: bo wiem, że raniony, naprędce potrzebuje lekkiey zawiązki. Sa-

mo Pismo ś. mówi, że Bóg niekiedy karze dzieci za winy rodziców. Złośliwa pani domu, gdzie niegdyś Lordzie mieszkałeś, będąc brzemienną, tak się jednego razu rozgniewała, iż żółć jey, jak myślą lekarze, chociaż się po krwi rozeszła, jednak naymocniey płód dotknęła. Z tey przyczyny na ciele syna, wkrótce na świat wydanego, jakaś powłoka ciemno-żółtawa, jak na trupie ukazała się, i kiedy zaczął podrastać, wszystkich przerażał swym widokiem, a poźniey nawet, chociaż był bogatym, jednakże w ludziach wstręt wzbudzał. Był on nakształt tego człowieka, co razem z nami, jeśli przypominasz Milordzie, wieczerzał w traktyerze, gdzieśmy się z sobą poznali. Rodzice jeszcze w kolebce zostawili go sierotą, a razem z nimi i wszelka miłość ku niemu umarła. Odtąd w domu opiekuna zaniedbany, pogardzony, służył za pośmiewisko jego dzieciom i domownikóm. To rozjątrzyło chłopca zupełnie, mającego charakter swojey matki. Dochodził już on lat szesnastu, kiedy burgrabia jego zamku, za interessem przybył do opiekuna. Człowiek ten zyskał jego zaufanie: bo on jeden tylko, chociaż z wewnętrznym wstrętem, poważał go jako swojego pana, a razem jako młodzieńca niegdyś piersią jego żony wykarmionego. Zaledwo burgrabia na powrót odjechał, wnet on pomyślił o ucieczce; potrafił jakimś sposobem dostać w swoje ręce kilka paczków złota, a na ich mieyscu, dosyć przebiegły i złośliwy! — położył kwitek ze swoim podpisem. Za pomocą tego zapasu dostał się do swojego majątku, znalazł sposób widzieć się potajemnie z burgrabią, odkrył się przed

nim i namówił, aby go przechowywał w domu, niedając opiekunowi podeyrzenia o stosunkach między nimi. Tym sposobem pokoje, szafy, skrzynie, stanęły mu otworem; jedno tylko bióro było pod kluczem opiekuna: bo w niém wszystkie rzeczy kosztowne a nawet pieniądze leżały zamknięte. Jednakże jakimś sposobem udało się mu otworzyć szufladę z papierami. Z tych dowiedział się, że między jego rodzicami a opiekunem była zrobiona umowa, ażeby ten, z czasem jedną ze swoich córek wydał za ich syna; ale gdy on równie nienawidział córki swojego opiekuna, jak ich oyca i wszystko, co z nim było złączone; odkrycie to jeszcze bardziey utwierdziło go w zamiarze ucieczki bez powrótu. Za pomocą więc burgrabiego, zjednanego sobie przez rozmaite obietnice, pomimo ogłoszeń z opisaniem szczegółowém jego powierzchowności, chociaż bez wymienienia nazwiska, przez opiekuna rozesłanych, potrafił oddalić się z kraju. Lecz gdziekolwiek przybył, wszędzie musiał walczyć z przykrościami; nigdzie nie znaydował szczerego przywiązania, nigdzie pocieszającey skłonności ku sobie. Nakoniec widząc, że dla błahey przyczyny ciągle mu szło niepomyślnie, postanowił udać się do Indyy Wschodnich. Próżny zamiar! Bez pieniędzy i sposobu do życia, pogardzany od białych, nieprzyymowany od Kreolow, z rozpaczy udał się do dzikich, aby tam przynaymniey zyskać spokoyność niszczenia ludzi, nienawidzących jego i nawzajem przezeń nienawidzianych. Tam walczył w ich szykach i przez to się im podobał: ale życie dzikie nie podo-

bało się znarowionemu europeyskiém ukształceniem. Powrócił więc do narodów, nazywanych cywilizowanemi. Doświadczenie go nauczyło, że w takich krajach znayduje powszechny, przez wszystkich uznany szacunek — złoto; dla tego więc nie doznając nigdy wzajemnego przywiązania, łatwo poddał się od dawna już tlejącey w nim namiętności do kruszcu, bo ten nigdy nie odpycha tego, kto całą duszą jemu oddany, stale się za nim ubiega. Ale niezmordowanym bydź powinien taki miłośnik złota, jeśli je chce przywiązać ku sobie; niezmordowanym był i ten, o kim mówię, chociaż los rozmaicie mu sprzyjał. Przypadkiem między dzikimi, dostał się do prowadzących zakazany handel brylantami: to mu podało pierwszą zręczność powrócenia do krajów cywilizowanych. Ostróżność, przebiegłość, nawet oszukaństwo temu handlowi towarzyszące, bardzo mu przypadły do smaku. Przy tém i złoto i drogie kamienie dla takiego miłośnika równie są lube.

Słyszałem, że ci, co się aż do zapału w zbiorach uczonych kochają, naprzykład miłośnicy rękopisów, numizmatow, lub tym podobnych osobliwości, nie mają sobie za złe, jakimkolwiek sposobem, chociażby nawet mniey chwalebnym, wzbogacać swoje gabinety. Mnie się samemu zdarzało znać podobnych ludzi; lubią oni skarby swoje, ale jeśli drugi tegoż gatunku miłośnik ich odwiedza, wtenczas na chwilę z rąk jego nie spuszczają oka. Cóż więc dziwnego, że i w tym młodzieńcu zapaliła się namiętność do brylantów: nabywał ich jednak, nie krwawą drogą, jak drugi Kardiliak, ale przez han-

dlarskie obróty. Z tém wszystkiem nie zaniedbywał własnego w oyczyznie majątku mieć na oku: dla tego, kiedy niekiedy, opiekun odbierał w listach z podpisem dziedzica, tylko te słowa: „jeszcze żyję.” W dążeniu do bogactw, naylepszym sposobem osiągnienia celu, nie jest otwarta ludzi pogarda; lecz czynna ku nim nienawiść. Młodzieniec zebrał nie mały już zapas ulubionego kruszcu, i wtenczas, właśnie wporze wyyścia z opieki, stanąwszy przed opiekunem, zmusił go do uznania siebie za prawego dziedzica bez dalszych pisma dowodów: bo na własney twarzy nosił dowód naymocnieyszy. Tym czasem jego narzeczona już się stała pięknością dorosłą i wzbudziła w nim niezupełnie zamarłe uczucia. Nie tak podziwienie, jak okropność przejęła wszystkich, kiedy się odezwał, że wié o dawney umowie i żądał jey spełnienia. To go boleśnie dotknęło i odepchnęło od żądanego przedmiotu, ale się pocieszył, kiedy, aby się go pozbyć, w zamian za niewielki wcale spadek po rodzicach, dano mu znaczne pieniądze.

Stary tylko zamek został przy nim: bo z tym się niechciał rozstawać. Jeszcze nie ostygłe wspomnienie pokojów, gdzie chociaż w dzieciństwie czuł jednak słodycz swobody i panowania, wzbudziło w nim chęć odwiedzenia tych murów. Siadłszy nakoniec sam jeden, puścił się w drogę, i już o zmroku tam przybył. Wiedział on od opiekuna, że stary burgrabia nie żyje, a zięć jego spełnia ten obowiązek. Przyszło mu do głowy obeyrzeć wprzódy nieznajomą sobie rodzinę, nim się sam jey

pokaże. Podobnież więc, jak my niedawno, podszedł pod nizkie okno mieszkania burgrabiego i pierwszy widok, co go uderzył, była dziewczyna pięknieysza jeszcze od narzeczoney mu córki opiekuna, pełna prostoty i powabu, słowem jak nasza Sara; za nią, nie widział więcey nikogo; jeszcze raz miłość zapaliła się w jego sercu, ale też poczuł razem, że będzie musiał wyrzec się wszelkiey nadziei, jeśli ta piękność go zobaczy. Zajeżdża więc do tego traktyeru, gdzie teraz jesteśmy, mianuje się podróżującym Indyaninem i prosi o pokóy. Tu bawi czas długi, prawie nigdzie nie wychodząc, aby się jak naymniey ludziom pokazywać; mimo to jednak staje się przedmiotem ciekawości i podziwienia całego miasta. Z niezachwianą cierpliwością znosił tak przykre położenie — prawdziwie przykre: bo zewsząd mieszkańcy tuteysi zbiegali się do traktyeru dla widzenia go, i wszyscy przezwali go djabłem, raz, że to imie zdawało się jemu właściwém, powtóre, że był zwyczay mieyscowy dawać je każdemu, kto był z czegokolwiek dziwnym albo osobliwszym. Tymczasem szare wieczory jesienne zaczęły mu sprzyjać; postrzegł, że przy świetle xiężyca nie tylko twarz jego niewydawała się tak brzydką, jak była w istocie; ale nadto blask łagodny, oświecając jego rysy, pełne młodzieńczey żywości, czynił go nawet powabnym. To mu podało myśl poznajomienia się z ulubioną przy świetle wieczorném, i zawsze nie inaczey, jak w tey porze z nią się widywał. Szło mu pomyślnie, dokazał niebawiąc tego, że tajemnie sam na sam miewał z nią powidania i

tym sposobem dziewcze niedoświadczone uwikłał w swoje sieci. Kiedy już ta bardziey przez niewinność, niż słabość zupełnie się jemu oddała, wtenczas się jey oświadczył, i tegoż wieczora przy zmroku prawie z tryumfem poszedł do jey matki, niegdyś swey mamki. Tam znalazłszy całe rodzeństwo, opowiedział o sobie, o swojem srogiem przeznaczeniu, i odkrywając się z miłością, dodał nakoniec, że chce swóy los złagodzić szczęśliwém małżeństwem z ulubioną. Dziewczyna, mocno do nigo przywiązana, nie przypuszczała aby jakiekolwiek zewnętrzne wrażenie zmienić ją mogło; alić z przestrachem się cofnęła, kiedy matka uradowana, że ten którego własną piersią karmiła, znalazł się niespodzianie i chce jey córkę uszczęśliwić; wniosła świecę, aby się mu lepiey przypatrzyć; nieszczęśliwa przezwyciężyła siebie i poddała się swemu przeznaczeniu.

Ułożono więc aby nowożeniec wyjechał z miasta pod imieniem Indyanina, i powróciwszy tajemnie osiadł w zamku. Ślub podobnież skrycie wzięto i to nie w mieście, ale we wsi oddaloney. Prędko znikł urok miłości, a słaba, przesądna kobieta, powiększając sobie okropność ciągłém wspominaniem winy, w jaką przez podstęp przed zamęzciem wpadła, zaczęła wzdrygać się w objęciach męża, jakby mocą szatańską targana. Przy tém dowiedziała się o daném mu przezwisku, kiedy mieszkał w traktyerze, i wyraz djabeł często wymykając się z ust jey siostr zaźdrośnych, sprawiał na niey nadzwyczayne wrażenie, którego całą mocą rozsądku pokonać nie mogła. Mąż, przywykły do wędrów-

ki po świecie, nudząc w zamknięciu, zamyślał już jechać w strony dalekie. Ona wszędzie chciała mu towarzyszyć, lecz nie była w stanie; wiedział on o tém, ale też razem czuł, że się wzdrygała na jego łonie i mimo jey wiedzy czytał w jey sercu, a tym mocniey raziły go te uczucia, im staranniey były skrywane. Nakoniec, kiedy nie tylko miłość utracił, lecz nadto widział w ulubioney wstręt ku sobie, wstręt okropny, którego przyczyna — własna powierzchowność jego, do wściekłości go przywodziła, w chwili rozjątrzenia i rozpaczy, rzucił ją i pojechał sam jeden, zostawując tylko list, zawierający wexle na znaczne summy, i straszliwe pogróżki: przez te oba sposoby chciał skłonić do milczenia o sobie i żonę i całą jey rodzinę. Wtenczas zabrał też klucz od mieszkań górnych, aby mógł w każdym czasie swobodny wstęp mieć do nich. Surowy przykaz był zostawiony, ażeby nikogo nie wpuszczano do tych pokojów, ażeby nikt nie wchodził w zdarzeniu nawet, jeśliby tam światło dawało się postrzegać, albo jaki szelest był słyszany.

Odtąd z niezmordowaną usilnością oddał się nie długo zaniedbanym interessom swoim. Objechał całą Europę, wszedł w stosunki z wielą żydami handlującymi drogiemi kamieniami, często odwiedzał swóy zamek, tam robił tajemne umowy i chował kleynoty, które niegdyś tak obficie chodziły po ręku; lecz w ostatnich nieszczęśliwych czasach nie wiadomo gdzie przepadły: i cóż za dziw, kiedy się djabłu dostawały! Jednego razu za powrótem do domu, radośném podziwieniem został przejęty, znaydując

nowo-narodzoną córkę, zupełnie do matki podobną. Imie jey dane było Sara, i ochrzczono nie wdomu, lecz tam, gdzie rodzice ślub brali; co tém bardziey skłoniło sąsiadów do uważania dziecka za nieprawe. Od tey chwili ożyło między małżeństwem, ostygłe przed tém przywiązanie. Oboje dla wielu przyczyn umówili się taić przed córką wiadomość o życiu oyca. Wniosek oczywisty, że i w mieście nikt o nim nie powinien był wiedzieć; zatrudnienia, jakiemi się zaymował kazały okrywać tajemnicą każde jego zjawienie się w domu. Tym czasem nie przestawał krążyć po świecie. Jeździł do wód mineralnych, na jarmarki, słowem: wszędy, gdzie się spodziewał pomyślnego skutku swoich tajemnych obrótów. Niekiedy przemieszkiwał w gospodach z nadzwyczayną rozrzutnością; lecz częściey oszczędzał kruszec ulubiony, bo z tym bardzo się ciężko rozstawał.

Nie mało lat upłynęło, a matka Sary w zapomnieniu, lecz bez narzekania, pędząc dni swoje, nakoniec umarła. Mąż jey wtenczas nawet nie zmienił sposobu życia; różnemi czasy odwiedzał zamek, dla widywania się z córką; chociaż przez miłość oycowską, nigdy nie odkrywał, jak bliskim węzłem był z nią połączony: gdyż lękał się przerazić delikatny jey umysł piętnem wstrętu na swojey twarzy wyrytém. Jednakże ludzie tam mieszkający nie raz domyślali się jego obecności, i może bydź, że przez to zachowało się w ich pamięci jego przezwisko, tym bardziey, kiedy sama tylko gospodyni domu, po śmierci swojego zięcia, wiedziała jak

się on prawdziwie nazywał, i niezłomnie strzegła tey tajemnicy.

Pewnego razu, kiedy przybył dla widzenia się z dorosłą już córką, która co rok stawała się mu droższą, dowiedział się z niemałém podziwieniem, że część pokojów ustąpiona była na mieszkanie pewney Duńskiey rodzinie; zresztą wszystko tak dobrze urządzono, iż nie mógł się gniewać, i postanowiwszy na chwilę zobaczyć się z Sarą, znowu miał wyjechać. W tém, gdy się już z nią pożegnał i wrócił do swojego pokoju dla załatwienia jeszcze niektórych interessow, przyszło mu do głowy popatrzeć na swoich mieszkańców przez małą szczelinę, którą przypadkiem odkrył w przepierzeniu.

Ale cóż się z nim działo, kiedy postrzegł nieszpetną kobiétę, przebierającą tysiąc razy pięknieysze od siebie brylanty. Chociaż nigdy jeszcze niepozwalał sobie dopuścić się prostey kradzieży, jednakże w tym razie oczy jego nie mogły oderwać się od tego widoku, i sam nie był w stanie odeyść od szczeliny, ani wziąć się do jakieykolwiek czynności, nim ten skarb nie został schowany. Wyjechał wprawdzie natenczas, lecz się mu nieustannie zdawało, że blask brylantow gwałtem ciągnął go napowrót; że go cóś zmuszało, aby zbliżyć się do cudzoziemców i weyść z nimi w handlowe stosunki — sam z resztą nie wiedział dla czego jakiś smutek trwożył jego myśli; tylko ciągle blask kamieni stał mu w oczach, i wabił łakomą duszę do ulubionego przedmiotu. Powrócił więc szybko do zamku, i nie mówiąc z nikim ani słowa, postanowił czekać pomyślnego zdarze-

nia, a tym czasem mieć wszystko na oku. Nie długo bawiąc podsłuchał, że ta nieszpetna kobieta oddaje wszystkie swoje brylanty młodzieńcowi, którego on znał dobrze, za taką cenę, jaka dla niego samego była wyższą nad wszystkie brylanty. Wtenczas zdało się mu nie tylko rzeczą godziwą, ale nawet konieczną schwytać te drogie błyskotki. Cudzy zły zamiar zrobił jego własne sumnienie jak śnieg czystém. Dalsze rozmowy niedochodziły do jego uszu i sama puszka z kleynotami znikła mu z oczu. Tym czasem czynił przygotowania do swojego zamiaru: drzwi potajemne ukryte pod obiciem, starał się tak zwolnić na zawiasach, aby się bez żadnego szmeru otwierały, i na koniec postanowił spełnić przedsięwzięcie w porze obiadowey, kiedy, jak mu było wiadomo, nikt się w tym pokoju nie zostawał. Ale właśnie tegoż dnia sąsiadka nie wychodziła ze swego gabinetu; pod wieczor Eliasz przyszedł do niey i brylanty znowu były wyjęte z szuflady. W tém daje się mu słyszeć zmowa, na którą krew w jego żyłach zawrzała. Wchodzi jego córka; słyszy jak ją upominają, widzi nakoniec zamiar użycia względem niey gwałtu, krzyk dziewczyny rozdziera mu słuch i duszę. Już dawno klucz obrócił się w drzwiach potajemnych i wszystkie ostróżności były poczynione, aby w razie ucieczki żaden ślad go nie zdradził. Nie długo myśląc za tém, chwyta kordelas między różną bronią wiszący na ścianie, i trąca drzwi właśnie w chwili, kiedy stojąca za Eliaszem pani brylantów, rozkazywała zawiązać chustką gębę jego córce. Gniew odebrał mu przyto-

mność, ugodził kordelasem porywacza, lecz ten pasując się z broniącą się dziewczyną zniknął w okamgnieniu, a pani ugodzona, z krzykiem padła na ziemię. Eliasz puścił Sarę i rzuciwszy bystre spóyrzenie na rękę zabóyczą wybiegł co prędzey z pokoju. Zaledwo spełniło się zabóystwo, wnet oycu stanęło w myśli niebezpieczeństwo córki, myślał jak okropne dla niey mogłyby nastąpić skutki, gdyby ją tam samą jedną znaleziono. Wraca więc śpiesznie, i raz pierwszy w życiu, oboiętnym wzrokiem patrząc na rozsypane brylanty, chwyta prawie zemdloną dziewczynę, uchodzi drzwiami potajemnemi, zamyka je za sobą, przebiega różnemi korytarzami do dziecinnego pokoju, skąd tylko co wybiegła mamka, ciekawością i strachem przejęta, tam składa swóy ciężar i szepnąwszy Sarze na ucho: „Ja zbawiłem ciebie, ty milczéć powinnaś” znika nakoniec od nikogo nie postrzeżony. Żaden z domowników nie myślał o nim: bo wszyscy sądzili, że już oddawna nie było go w zamku. Tym sposobem ten nieszczęsny, ścigany od losu i własney wściekłości, musiał wyrzec się ostatniey nadziei szczęścia, jakie jeszcze mogło zabłysnąć dla niego, w oczach przymilonych nadobney córki.”

Lord chciał coś powiedzieć, lecz rychło spóyrzał na zegarek i stanął nieporuszony; a Konstanty tak daley mówił:

„Odtąd — od tey chwili, kiedy widok rozlaney krwi ludzkiey zdawał się nagle mścić nad nim, za przywiązanie do nieczułych błyskotek — poczuł wstręt do nich tak mocny, że każdy kamień drogi wydawał się mu smutnym

i okropnym, jak twarz jego. Ale to nie było skutkiem zgryzoty popełnionego występku: bo ten w jego oczach usprawiedliwiały zbieg okoliczności i własny zamiar; lecz skutkiem bojaźni, żeby się to nie przyczyniło do odkrycia innych tajemnych jego czynów. Przy tém nigdy nieznany mu żal za zgubienie wielu osób niewinnych i nadzwyczayna lękliwość, zupełnie go opanowały. W tenczas postanowił zaniechać swoich obrótów, żyć w mieście wielkiém i wesołém, a błyszczącym przepychem i zbytkiem, zasłonić się jak murem przed wzrokiem podeyrzenia. Tym czasem, chociaż wszelkim sposobem starał się pokazywać łagodnym i spokoynym, jednak silne namiętności nim miotające, zdradzały go ciągle i groziły niebezpieczeństwem. Twóy podarunek, Milordzie, skrycie uczyniony, wprowadził mię wbłąd osobliwy, i był powodem żem się z nim zapoznał. Mocne uczucia zajęły nas obu przy pierwszém spotkaniu; naprzemian, to wstręt, to pociąg czuliśmy ku sobie. Skoro się rozstał ze mną, zaczął przemyślać, jakby się wywikłać z sideł, widocznie zrządzeniem losu jemu zastawionych; ale nie zupełnie uszedł swego przeznaczenia. Unikając widywania się ze mną, strwożony własném przeczuciem z mojey przyczyny wzbudzonym, postanowił pozbyć się mię takim sposobem, który, gdyby nie twoje pośrednictwo Milordzie, jeszczeby prędzey odkrył rzecz całą; ale ja sam jeszcze wtenczas byłem w oćmieniu. Poźniey przy lekkiém obudzeniu tego, co się ze smutkiem kryło w mey duszy, wspomniałem o nim, i wszystko, jakby samo przez się wyjawiło się

przede mną: myśl jak błyskawica objaśniła mię, że imie tobie Milordzie przez Sarę powiedziane było djabeł. Natychmiast udałem się do niego; lecz jak szły nasze rozmowy, czegom doszedł, czegom się dowiedział, o tém nie powiem ani słowa: przysięga i przyrzeczenie zamykają mi usta. Dosyć wiele dokazałem. Oto w tych papierach znayduje się świadectwo o prawém urodzeniu Sary, zezwolenie oyca na moje z nią małżeństwo, i prawo przyznające jey dziedzictwo tego majątku, w którym ona teraz przebywa. Nie mogłem się wymówić od przyjęcia majątku; ale to jest fraszka w porównaniu ze skarbami, jakie on mi ofiarował. Powiedziałem wszystko Milordzie! Teraz wiele zależy od ciebie samego. Winowayca już nie jest w tym kraju, i ani twoja, ani praw zemsta, dosięgnąć go nie może. Chociażby jednak nic za nim nie mówiło, niech twoja wspaniałomyślność nie pozwoli zapomnieć, że on jest oycem Sary, a wkrótce będzie i moim. Niech córka nigdy się o tém nie dowie, że własnego oyca może zbawić swoją pobożnością — pobożnością mówię: bo niewinność lęka się występku ale nie żąda jego ukarania."

Lord porwał się z mieysca i trzymając zegarek w ręku chodził czas niejakiś po pokoju; potém nagle obrócił się do Konstantego, mocno go uścisnął i zawołał: „Idźmy do niey! żądam tylko tego co już otrzymałem: użycia mojey władzy mówienia. Zapomniymy, nie myślmy nawet o tém, co było. Gdziekolwiek rzucę okiem, wszędzie występki. Kto bez grzechu niech rzuci kamień!, i Sara tego nie uczyni. Idźmy do niey!"

Skoro tam przybyli, niewinna dziewczyna

z właściwém młodości zapomnieniem samey siebie, rzuciła się na spotkanie Konstantego, lecz nie dobiegłszy dwóch kroków stanęła zapłoniona. Lord chwycił ją za rękę, długo trzymał wzrok utkwiony w błyszczących jey oczach, i rzekł nakoniec: „Czémże? czém odwdzięczyć tobie mogę, lube dziewcze! za to, że byłaś drogą, naylepszą matką dla mojego syna? Poczekay! o to życie za życie, miłość za miłość, męża za syna!" to mówiąc oddał ją w objęcia Kostantego.

Sara zadumiona zaledwo mogła słyszeć jego wyrazy, i przyyymując z powolnością uściśnienia kochanka „Milordzie! mówisz?" zawołała tylko.

„Tak jest, ozdrowiałem — przyrzekłem tobie milczenie" dodał pocichu: „póki się nie rozwiąże rzecz nam wiadoma; teraz już się na nasze szczęście wszystko odkryło. Dziękuy oto komu" Tu wskazał na Konstantego. „Czas jest" mówił daley obracając się do Eliasza, który wkrótce za nim wszedł z babką uradowaną, i równie, jak ona, stał w oniemieniu, słysząc Lorda mówiącego: „czas abym teraz z tobą pomówił. Wiem o wszystkiém" odprowadził ich oboje na stronę i rzekł cicho: „Okazało się, że djabeł był zabóycą — niewymieniam prawdziwego nazwiska, lecz ty znasz go, staruszko! Oto z tych papierów wiem także o urodzeniu Sary, lecz ani słowa — ona nigdy niepowinna o tém wiedzieć.

I Lord i Konstanty nie życzyli sobie dłużey przebywać w tém miasteczku, gdzie dotąd mieszkali. Ostatni czuł się szczęśliwym przy Sarze, jednakże żądał niebydź blisko dóbr swoich tajemnie nabytych. Lord skoro został wol-

nym od ślubu udawania niemego, jakby w nagrodę sobie czasu milczenia, stał się bardzo mównym, i gdy miłość rozciągając swoje prawa nad Konstantym, oddaliła go od przyjaciela, wtenczas zdaje się, że wolał bydź w towarzystwie Eliasza: bo ten zawsze z uwagą słuchał do końca co tylko on mówił. Chociaż się Lord w wielu względach odmienił: stał się sprawiedliwszym, nie tak samolubnym, słowem, lepszym niżeli był przed tém; jednak zdawało się, że miał skłonność powrócenia do tego sposobu życia, do jakiego nawykł w młodości. Spokoyna szczęśliwość młodey pary nie była mu do smaku. Puścił się w podróż z Eliaszem, którego uszczęśliwić wziął sobie za obowiązek, chcąc przez to nagrodzić swóy porywczy względem niego postępek. Wprzódy jednakże obadwa przeprowadzili Sarę i Konstantego do jego matki, gdzie też Lord zostawił swojego syna: bo nigdzie troskliwszey opieki dla niego znaleść nie podobna było. Tak więc cztery osoby tu zebrane wystawiały naytrafnieyszy obraz szczęśliwego życia w epokach początku, środka i końca: lube uśmiechające się dziecińswo, wierną miłość — naywyższe szczęście na ziemi, i spokoyną, szanowną starość.

Może nie mimo woli Konstantego, tak się jednak złożyło, że dzień jego ślubu z Sarą przypadł w rocznicę zabrania z Lordem znajomości. Tegoż dnia rano sam on oddał uszczęśliwioney matce swojey list przed rokiem do niey napisany, z pieczątką dotąd nie naruszoną. „Nieposłałem go wtedy” rzecze tonem wesołym: bo piszę w nim o dniu szczęśliwym, który, jak się

zdawało, stał się był dla mnie bardzo nieszczęsnym. Jednakże w istocie słusznie pisałem; ale ciemni ludzie nigdy nie śmiemy pomyśleć o możności władania szczęściem; gdyż Opatrzność tém zarządza, a my tylko powinniśmy nie spuszczać równie z oka, jak z pamięci lekkich jey napomknień, i nawet w naysmutnieyszych okolicznościach zachowywać światło wewnętrzne, aby rozróżniając złe od dobrego, korzystać, ile można; z resztą zaś zostawić, niech los i nami i wszystkiém kieruje. Dla tegoż to, dzień ten zawsze był dla mnie szczęśliwym."

Młoda para znalazła w domu matki Konstantego rozległy okręg działania i spokoyność wewnętrzną. Summa wzięta za majątek posagowy, którego oboje więcey widzieć nie chcieli, i nagroda z rąk wdzięcznego przyjaciela, zapewniły im byt dobry na całe życie. O tym, co z urodzenia nosił piętno tak straszliwe, żadney wieści nie było. Konstanty wiedział tylko, że natychmiast opuścił miasto, gdzie się z sobą widzieli, i nie prędko poźniey zdawało się mu, że odkrył jego ślad w ogromney summie przez nieznajomego przy śmierci testamentem przeznaczonéy na założenie szpitala W.. Sara żyje szczęśliwa zawsze w tém mniemaniu, że zgon oyca poprzedził jey urodzenie. *F. W.*

KONIEC TOMU Igo.